



# ŚWIAT dzieci

DODATEK TYGODNIOWY GŁOSU LUDU



## Marek poznaje TATRY

Marek czuł się wyraźnie zawiedziony, chociaż głośno się do tego nie przyznawał. „Ze też ci dorośli zawsze lubią przesadzać” — myślał. No bo i eż to razy słyszał, jak wujek mówił: „Tatry — to perła naszej ziemi; nigdzie nie jest tak pięknie jak u nas w górach”. Mama marzy o tym, żeby się kiedyś nareszcie wybrać na odpoczynek do Zakopanego, Bukowiny czy Poronina, ale rok rocznie staje jej coś na przeszkodzie. Tym razem też odpowiedziała wujkowi: „ja nie pojedę, ale czy nie mógłbyś zabrać ze sobą Marka chociaż na kilka dni? I wujek zabrał. Ten wujek, w zimie uczył dzieci w szkole podstawowej w Zakopanem, a w lecie, jak żartem mówiła mama: „nic nie robił tylko latał po górach”. Podczas podróży trudno było wujka o cokolwiek zapytać, gdyż przez cały czas zajęty był rozmową z jakimś obcym panem, podobnie jak on opalonym niby Indianin. To, co mówił, byłoby dla Marka ciekawe, gdyby nie mnóstwo niezrozumiałych wyrażań, którymi obaj rozmówcy sypali jak z rękawa. „Wyobraź sobie, zdobyłem nareszcie Lodowy, a na Baranich Rogach mieliśmy kompletne mleko, tak że widoki nam całkowicie przepadły” — mówił obcy pan. „Wujku” — nieśmiało wtrącił się Marek — „jaki smak ma kompletne mleko? I skąd się ono wzięło na baranich rogach?,”

— Ha, ha, ha — zaśmiał się Wujek — prawdziwie „ceperskie” dziecko z siebie! Nasze góralczęta, wiedzą o mały że od niemowlęctwa, że Baranie Rogi, Lodowy, Rysy, Świnica, Zawrat, Giewont, Kasprowy — to nazwy szczytów i przełęczy tatrzańskich. „Mlekiem” zaś turyści nazywają gęstą mgłę, która tak zasnuwa wszystko dookoła, że o parę kroków nic nie widać!

Marek się zarumienił. Nie wiedział co to znaczy: „ceperskie dziecko” i czy nie należy się za to przezwisko obrazić. Na wszelki wypadek odciał stanowczo: „Jestem warszawskie, a nie żadne ceperskie dziecko”!

Obcy pan uśmiechnął się i wyciągnął rękę do Marka — „No, tośmy poniekąd koledzy, ja też jestem warszawskie dziecko, chociaż już całkiem dorosłe. Obaj z twoim wujkiem ogromnie kochamy Tatry, zdobyliśmy razem niejedną szczyt, przedeptaaliśmy wspólnie prawie wszystkie przełęcze. Na pewno, gdy trochę podrośniesz, będziesz chodził z nami. Nie zapowiadasz się wcale na „cepra”. — „Na kogo?” — niepewnie zapytał Marek. — „Wyraz „ceper” w gwarze góralskiej oznacza — kozioł. Tym przezwiskiem określają górale przybysza z równin, nie znającego Tatr i zachowujące-

go się w stosunku do gór bezradnie i fchórzliwie”.

Marek rzucił wujkowi spojrzenie pełne wyrzutu i wychylił się przez okno. Pociąg sapiąc z wysilenia zbliżał się do Zakopanego. Podróżni zdejmowali bagaże z pólka. Na dworze było brzydko: siąpił drobniutki gęsty deszcz. Na szarym tle nieba odcinały się zelonie wzgórza, porośnięte lasem, za nimi jakby zasnuwane bardzo gęstym welonem zarysowywały się jakieś kontury. — „Zupełnie inaczej się tu oddycha niż na równinie” — mówił wujek, wciągając piersią głęboki oddech. Marek bez słowa szedł za dorosłymi. Więc to ma być „perła naszej ziemi”, to są te „cudne górskie widoki”, o których tyle słyszał? Brzydko tu nie jest, ale żeby znowu tak wyjątkowo pięknie — to też nie! Zmokłe świerki na wzgórzach z jednej i drugiej strony i powietrze, istotnie o wiele przyjemniejsze niż w Warszawie, chłodne, czyste... Miasto, zabudowania, owszem, podobają mu się, potok szumi i pieni się piękna białą wodą... Wzbierała w nim, coraz większa irytacja na dorosłych. Cóż to za sztuka chodzić po tych górach! Jutro od rana pójdzie na tę tu na lewo i na tamtą na prawo. Pewnie, że się człowiek trochę zmęczy nim się na nie wygramoli. Są wysokie może na jakie 5, albo nawet 10 pięt.

Przypomnił sobie jak imponująco brzmiały słowa wujkowego znajomego: „Zdobylismy szczyt, sforsowalismy przelecz”, rozejrzal się dookoła po porośniętych lasem wzgórzach i nieznacznie wzruszył ramionami.

Tak, Marek był wyraźnie rozczarowany. Szli dość długo i ciągle pod górę. Koło domu przywitał ich kudłaty biały pies — „To Baca — rasa owczarków góralskich — mądry i dobry stróż” — przedstawił wujek, radośnie machającego ogonem, przyjaciela. — „Teraz pilnuje domu, a dawniej pilnował stada owiec pasących się na hali. Dlatego na imię mu „Baca”. Górale nazywają tak starszego, odpowiedzialnego za stado pasterza”.

Następnego dnia Marek obudził się bardzo późno. W pokoju cicho. Łóżko wujka zastane porządnie, na stoliku, oparta o kalendarz była jakaś kartka. Poprzez firankę, zasłaniającą półotwarte okno wdziera się do pokoju słoneczny blask pogodnego letniego dnia. Chłopak w jednej chwili wyskakuje z łóżka. „Drogi Marku — odczytywał słowa skreślone w pośpiechu ręką wujka — wezwano mnie nagie jako członka Tatrzańskiego Pogotowia Ratunkowego na wyprawę ratowniczą. Zdarzył się wypadek w górach. Jakiś niewprawy turysta zablądził, wszedł w trudne i niebezpieczne miejsce i nie może sobie dać rady z zejściem. Całą noc spędził biedak na skalnym urwisku. Musimy go ratować. Jedzenie znajdziesz w kuchni. Zobaczmy się po południu”.

„Nie może sobie dać rady z zejściem” — czytał po raz drugi Marek — To chyba „ceper” zdecydował w myślach. Jak można nie potrafić zejść z góry?

„Nic nie rozumiem” — mruknął; odsunął firankę i wyszedł na balkon.

Przed oczami jego piętrzyły się w słonecznym blasku jedne za drugimi coraz to wyższe krawędzie łańcuchów górskich. Jedne mieniły się wszystkimi odcieniami zieleni, inne, daśsze szarzały i różowiły się na tle lazurowego nieba potężnymi skalnymi złomami, tworzącymi kamienną, poszarpaną ścianę. Marek zapatrzył się i jakby sam skamieniał z zachwyty i zdumienia. Niebotyczne zwaliska podobne do fantastycznych zamków czy twierdz, grzebienie postrzępione, nagie, prostopadłe urwiska... Skąd się to wzięło? Przecież wczoraj nie widziałem nic, prócz tych tu pobliskich pagórków. Zdawało mu się, że niższe góry, zielone i jakby uśmiechnięte zachęcają i zapraszają.

### Noc w Tatrach

Pośród zamarłych szczytów cichutka drży muzyka: po gładzi wiecznych śniegów wiatr nocny tak pomyka.

W mroźnym powietrzu górskim jak w szklanych stawów głębi, ten wiatr przewala chmury, mąci je, gna i klebi.

Więc strzępią się na turniach, w przepaściach głuchych giną, i zmartwychwstają znowu, i z wiatrem nocnym płyną.

A on, po śniegach goniąc drobniutki pył lodowy, świegoce bardzo cicho — gra marsz podksiężycowy..

J. Czechowicz.

(Dokończenie na str. 4)

235



KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

## WICHRZYSKO

## Wyjątek z „Legendy Tatr“

*Utwór ten pisany jest gwara góralską. Znajdziecie w nim dużo słów nieznanych, które postaramy się wam wytłumaczyć. Nie dziwcie się też, że w niektórych miejscach zamiast „ch”, napisane jest samo „h”. Górale tak wymawiają, a Tetmajer starał się wiernie oddać ich język.*

Śnieg sypał się płatami, zalepiając oczy i usta, gnany wichrem wyjąłym pośród ścian czarnych od pomroczy, Sablik schodził w noc. Nie do wypowiedzenia groźna ciemność zaszła przestworza. Zda się, jakby śniegowąły zatoczyły sobą ziemię aż po krańce, jakby gruby jakiś, obcy żywioł, zapanował nad ziemią. Wszelka nadzieja się w nim traci, wszelkie spodziewanie.

Na ramiona wali się ciężar i głowę przyniata, oczy zaś, czując prawo wzroku, wyteżają się gniewnie, strwożone i bezsilne, jak jaskółki, zaskoczone burzą, gdy ciągną nad morzem.

— Kieby ja oreł był!) — myślał Sablik — wyniosłbyk się obwysno?) nad śnieg.

Wtem ujrzał pod stopami skrzesaną ścianę.

Tędy nie szedł.

Zwrócił się na lewo i ujrzał przepaść; na prawo też sam.

— Ki dyasi aj dyasi, kajek wlaz? — mruknął. — W beztok?

Cofnął się, lecz naokół były skrzesane ściany.

— Pomyliło mnie wej plugastwo — mruzczał. — W złem miejscu.

Stał i próbował sobie wyzbacować<sup>a)</sup> drogę, ale snąc już chwilę szedł błędnie.

— Powrót zanadto zły.

Godnie śniegiem przypierchło — ślizgocoby nie zjechać...

Niepokój go przejmował.

Ujrzał wąski zachodzik — chwyciwszy się rękami granitu nad sobą i, ledwo krąwędź stóp nad urwiskiem na granicę mieszczać, przesunął się i dostał pod zawos skały, spod której go wiatr chciał oderwać i strącić.

Naówczas Sablik zgrzytnął zębami, skulił się w sobie, ściągnął w siebie, napiął mięśnie, wtulił kark w ramiona, wystawił nieco czoło naprzód i oczy mimo śniegu rozwarł szeroko i rozpoczął walkę z wichrem.

— Pojdz, podź! — szeptał, miażdżąc wargami mokry śnieg. Podź! Myślis, że ja stary? Zrucielbyś mie<sup>b)</sup>?)

Wiatr odpychał go od turni, odrywał, ciągnął w dół, bił w niego piersią wzdętą.

Sablik zwrócił się w bok, objął wyzrąb skalny nad swoją głową rękami, dźwignął się i zawisł w powietrzu.

Wiatr kołysał nim, przegibał go na prawo i lewo, on zaś z zaciśniętymi zębami dźwigał się na rękach nad przepaścią i nad wyzrąb wydosłał.

Piął się znów ku górze, ku przełęczy. Pod Chłopkiem, na siodło. Tam naremnic<sup>c)</sup>), leżąc na skale, przeczekać, lub po łagodnym zboczu od strony południowej w dolinę się spełznąć.

Na brzuchu czołgał się w górę, piersiami, udami, kolanami, brodą przywierając do skały. Przewijał się jak wąż popod wiszące w pól w powietrzu gzemys skalne, zwieszony wystającą połową ciała, pełzał po zrębach turnic, po ledwo znacznych półkach; palce w szpary wbiwszy, cały na rękach, przesłizgiwał się po chyłych płytach rozpękłych, nogami w wietrze pływając nad straszłą otchłanią. Walczył.

W suche, zawiedłe ciało myśliwca wicherzycia biła jakby je unicestwić pragnęła, ale twarde, zakrzepłe mięśnie i kości opierały jej się wytrwale i nieugięte.

Tatry całe wyły, huczały i świszczwały. Huraganem napelnił się, wezbrał, przepętnił ich świat. Wicher jakoby się nie miał gdzie w nich podziać, szumiął po skałach, wypływał w górę i w dół splywał, jak fala wody, która by głązy z hukiem staczała. Lecz Sablik w tem piekle śnieżnym nie drżał. Walczył.

I wydobył się na przełęcz.

— Wis, beskurcyja — rzekł do wicheru,

— Nie dalek sie. Ja jesce nie twój.

Wiatr od południa był słabszy, droga la-



stwa: Sablik zstępował w dół w zawiei śnieżnej. Dobił się kosodrzewiny, ale dziwnie czuł się słaby.

Cysto pięknie się zamordował, widziało się, co sie hnet trza będzie turnie hytać...

Legł na konarach; był bez sił, bez władzy w ciełe.

Spał.

Był już drugi dzień, gdy ujrzał nad sobą jasne czyste, śliczne promienne, błękitne niebo i słońce wysoko. Nieopodal poniżej błyszczał wielki zielony Hiczwowy Staw, wysoko szczyty stały pogodne i spokojne.

Dookoła był śnieg.

Śnieg miękki, puszysty, błyszczący, ogromny, tak wielki, iż turnie, kosodrzewina, drzewa w nim ginęły, który byłby zasypał Sablika, gdyby krzak kosodrzewiny, gdzie legł, nie rósł na wyniosłym złomie skały, skąd go wiatr zmiatał.

Dookoła stały góry spokojne, milczące, wyraźne, świecące się jak srebrne.

Odmieć śniegowa wypiększyła lody.

Szafir mroźnych granitów rzeźbił świat.

Tatry...

Sablik leżał na wznak i patrzył na nie.

Sąż to one te same?

Sąż to te góry, które przebiegał wzdłuż i wszerek; które nie miały dla niego tajemnic, ani granic dla jego siły.

Którym dumną stopą przystępował grzbiety, ramiona i głowy wyniosłe?

Sąż to te góry, w których miał izby swoje obrzymie po dolinach, ściany z krzesanic, które mu były jako dom jego życia?

Sąż to te góry, które żywiły go, poddawały się jego woli, zdawały się go rozumieć i myśl jego zgadywać, które służyły mu?

Które napelniał swoim imieniem od pół wieku, w których zdawały się na wleczność zakute echa jego strzałów, świsty strzał i uderzenia straszego topora?

Które widziały jego czyny, znały jego sprawy, jakich nie znał nikt?

Z którymi jakoby zaprzysiężenie było, jakoby przymierze zawarte, których on się czuł jakoby duchem, władcą i dzieckiem?

Sąż to te góry, te Tatry jego rodne, które on miłował więcej niż dobytek swój, rodzinę, ojcowiznę i ludzi dookoła siebie?

Które były jego myślą i jego duszą?

Jestże to ten dom jego potężny, ten gród jego wolności i chwały, gród i dom, w którym przemieszkał lata całe, długie i światła pełne?

Albowiem Sablik wiedział, że dłań nie ma ratunku, że więcej z Tatr nie wyjdzie...

Pierwszy raz zobaczy ich grozę i mroźność.

Pierwszy raz patrzyły one nań, zupełnie milcząc, i zupełnie kamienne.

Pierwszy raz zdały mu się czymś obcym, niezwyłym...

Groza — głuza — milczenie — i światło olśniewające...

Z kątów doliny wzywały ze srebrnego, skrzącego się śniegu dusze pobitych strzelców i pobitych niedźwiedzi...

Wesela pełne polany, kędy grał...

Kędy grywał juhasom, dziewczkom cudnym i starym siwowym hacom o groźnej dłoni...

Ciche, ustrome miejsca spoczynku na wplatkach, gdzie pod nogami przepaść była, a nad głową, nad miękką trawą skały, ciele dające...

Gęśl gra...

Gra to jego gęśl własna. Wyczarowały się ze skał wszystkie dźwięki, jakie przez pół wieku nie webrzmiały...

Gęśl gra...

Ej dyna — dyna dyna — dyna! dyna, dyna —

Sablik słucha.

Ej Sablik se zaśpiewał — ej Krzywad mu odpedział.

bo o jego sprawie nik iny nie wiedział...

Góry zwracają mu śpiew.

Co wegrał w nie, dzwoni koło niego.

Jakoby wszystko światło na śniegu rozdzwoniło się wokrag, po krzesanicach...

Sablik słucha.

<sup>1)</sup> Był; <sup>2)</sup> wysoko; <sup>3)</sup> wypatrzeć; <sup>4)</sup> zruciał byś mnie; <sup>5)</sup> nawalnicę.



# Wakacje w NAMIOTACH

To był naprawdę raj. Dzieci, które przybyły na kolonie letnie do Józefowa, mieszkały w prawdziwych namiotach.

Były to maleńkie domki z nieprzemakalnego płótna, które dzieci same zbudowały, jak tylko przyjechały tu na wakacje. Janek, który już parę razy był na prawdziwym obozie, ofiarował się pokazać, jak się taki namiot rozkłada.

— Ten długi kij z przymocowanymi u szczytu linkami, jednakowej długości, wbijamy w ziemię — pouczał Janek.

— Teraz, naokoło w białego kija odmierzymy jednakową odległość i wbijamy w ziemię, na ukos, ponadcinane kołeczki, do których przymocujemy linki. Na takie rusztowanie kładziemy brezent i namiot gotowy.

Teraz każde z dzieci prześcigało się w pomysłach, aby swój domek upiększyć.

— Ja do naszego namiotu zrobię prawdziwą podłogę — chwalił się Staś.

To już było tajemnicą chłopca, skąd wystrząsał się o deski, które poukładał jedna przy drugiej, tak, że utworzyły piękną posadzkę. Tam, gdzie podłogi nie było, zastępował ją leżący na ziemi brezent, lub poukładany mech.

Ale najbardziej pomysłowe były, jak zwykle, dziewczynki. Ponakrywane serwetkami walizki stworzyły miłe stoliki, na których w znalezionym gdzieś wazoniku, stanęły piękne kwiaty. Obrazki, które nie-

wiadomo skąd wydobyla Jadzia, pozawieszano na ścianach namiotu.

— Chyba zabraliście ze sobą całe umeblowanie — śmieli się chłopcy.

— No tak, ale na czym będziemy spały? — martwiła się Zosia.

Na to zmartwienie znalazła radę sama pani. Każde z dzieci dostało własny sieniek, wypchany świeżym pachnącym sianem.

Przyjemnie było spać na tym nowym posłaniu.

Gdy wszystkie namioty były już ustawione, zaproponowała pani, aby każdemu z nich nadać inną nazwę.

— My nasz namiot ochrzczymy „Indianinem” — zaproponował Janek.

— A nasz nazwiemy „Eskimos” — domagał się Staś.

Teraz każdy namiot otrzymał własną chorągiewkę, na której dzieci namalowały jego godła.

Każdego ranka chorągiewkę wciągano na szczyt namiotu, skąd powiewała dumnie, jak flaga.

— Teraz już nie zabłądzimy i od razu będzie się wiedziało, gdzie mieszkają Eskimosi, a gdzie Indianie — cieszyła się Zosia-geografka.

Dzieci były bardzo dumne ze swego odkrycia, a gdy jeszcze przed każdym namiotem zostały ułożone na ziemi godła

z szyszek, kamyków i mchu, wtedy naprawdę było pięknie.

— Nasza kolonia wyglądała zupełnie jak obóz wojowników — stwierdził dumnie Stach.

To jeszcze nie było wszystko.

Janek odmierzył na murawie duży prostokąt, dokoła którego kazał wykopać wąski rów. Prostokąt murawy miał służyć za stół. Każde dziecko wchodziło do rowu i zasiadało wygodnie na ziemi. To była bardzo przyjemna jadalnia i wszystkie potrawy smakowały pierwszorzędnie na świeżym powietrzu.

Ale najmiłsze chwile były o zmroku, gdy dzieci otaczały kołem płonącego ogniska i śpiewały chórem piękne, ludowe piosenki.

Blask zachodzącego słońca mieszał się z odbłaskiem ognia, z dala dobiegał rechot żab i śpiew zapóźnionego ptaka, a niewidzialne świerszcze akompaniowały dzieciom cichutko.

Halina Tołłoczko.



BENEDYKT HERTZ

## KRZYSIA I JANEK na wakacjach

14)

— Niech sobie będą jaszczury — odezwiała się Krzysia — a wy jesteście dudki i tchórze!

— Co takiego? — oburzył się Bawoli Róg — powtórz, coś powiedziała!

— Tak! — krzyknęła — dudki i tchórze. Mnie mówiła mama, że żadnych strachów nie ma, a diabeł Boruta w głupich głowach mieszka. Więc na Szwedzkiej Górze z pewnością jest nieobecny.

Słowa powyższe przypięczętowały los dziewczyny. Ogłoszono wyrok, skazujący ją — za obrazę majestatu — na degradację, to znaczy odebranie rangi oficerskiej.

— Dużo mi zależy na waszych głupich rangach! — krzyknęła, gdy ją namawiał, aby złożyła podanie o darowanie winy, bo każdy wódz ma prawo utaskawiania winowajców.

Ha, trudno. Wyrok musiał być wykonany — i to bardzo uroczyście, przepisowo. Janek sam na własne oczy widział taką scenę na obrazku. Było odmalowane, jak generał zdiera naramienniki skazanemu oficerowi. Ponieważ Krzysia dotąd ich nie miała, więc aby je zdrzeć, trzeba było najpierw przyszyć.

Choć Krzysia opierała się, chłopcy przytrzymali jej ręce i sam władca osobiście

przyfastrygował papierowe naramienniki. Następnie rozpoczęła się uroczysta degradacja.

— Wojtek, muzyka! — zawołał Janek. — Tylko żeby była smutna.

Chłopak przytył do ust fujarkę i zagral w tempie marsza żałobnego znaną pieśń do słów: „A zawracaj od komina!” Równocześnie Józiek, mianowany na ten dzień dobozszem, zabębnił grubą pałką na rondlu (właściwie, powinny były być kołty, ale kotła Walentowa wziąć nie pozwoliła). Wreszcie wódz stanął na podwyższeniu (był tam taki duży kamień) i wygłosił mowę, że...

— Niesubordynacja musi być ukarana... że obraza majestatu... że nie wolno nic wygadywać na naszą waleczną armię i nazywać wodzów dudkami, a tym bardziej tchórzami i w końcu, że „sama jesteś tchórz i nie potrzeba nam takiej osoby w wojsku”.

Zbliżył się do dziewczynki i już miał jej zerwać naramienniki — tak zupełnie, jak to robił generał na obrazku — gdy stała się rzecz nieoczekiwana, nie spotykana w dziejach armii całego świata. Krzysia podniosła rękę na majestat i tak trąciła wodza w głowę, że swe własne arcydzieło, koronę z piór, przekrzywiła władcy na lewe ucho.

Wszyscy oniemieli na ten widok. Zbrodniarka zaś, nie tracąc fantazji, sama zdarła sobie z ramion lekko przyszyte szlify, zgmiotła je, rzuciła na ziemię i śmiejąc się, pobiegła do ogrodu.

Potem zza parkanu zaczęła wykrzykiwać:

— Zgrabne wojsko, dzielny wódz! Do krzaków boi się iść! Obejdę się bez waszych naramienników!

Każdy inny wódz skazałby Krzyskę na rozstrzelanie. Nasz wódz wolał tego nie czynić, bo się bał cioci. Nawet nie mogliśmy gonić przestępczyni, gdyż gotowa była każdej chwili z ogrodu pobiec na ganek, gdzie siedzieli wujostwo, czytający, jak zwykle po obiedzie gazety.

— Pal ją sześć! — oświadczył krótko Bawoli Róg i zarządził zwyczajne manewry.

Krzysia jednak nie dała za wygrane i postanowiła za wszelką cenę zbadać tajemnicę ognistej korony. Najprzód próbowała przeciągnąć na swoją stronę żołnierzy brata, obiecując każdemu sprawić hełm jeszcze piękniejszy od hetmańskiego. Wicek i Stasiak (nasze ciury obozowe) powiedzieli, że dobrze, ale szable też muszą dostać. Potem kiwnęła na mnie.

— Zrobię cię — rzekła — nadhetmanem i naszyję kapelusz perełkami. Chcesz?

Dobre sobie! Któż by nie chciał kapelusza naszytego perełkami... Ale być pod babską komendą... O, co to, to nie!

Po krótkiej walce z samym sobą, pokazałem jej nosa i powiedziałem:

— Nic z tego. Honor żołnierski nie pozwala mi opuścić wodza Bawolich Rogów.

— Głupi jesteś — odpowiedziała Krzysia. I na tym skończyły się nasze — jakby powiedzieli starsi — rokowania dyplomatyczne.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Szemrze górski strumyk,  
perł się i pieni —  
śmieją się do niego  
słoneczne promienie...

Od samego źródła  
do Dunajca płynie,  
a po drodze mija  
smreki i jedliny.

Bieży strumyk wartko  
po gładkich kamykach...  
Hej, gra mu do taktu  
ta leśna muzyka!



Szumi strumyk tęsknie,  
żegna się z górami,  
a owieczki smutne —  
pobekują zanim...

Srebrzyste piosenki,  
o tym, że z Dunajcem  
wpadnie do Wisłki.

Ze odwiedzi miasta,  
miasteczka i wioski,  
że naprawdę pozna  
cały kraj nasz polski...

A kiedy z Wisłką  
do Bałtyku wpłynie —  
będzie śpiewał piosnki  
o Polskiej Krainie..

JANINA WAZŁOWA



## Marek poznaje Tatry

(Dokończenie ze str. 1-ej)

A tamte dalsze skaliste, na wpół obumarłe — grożą czy przestrzegają przed czymś. Dumnie dźwigają swoje kamienne czoła wzniesione ponad tym krajem tyle tysięcy lat. „Muszę tam kiedyś pójść — szeptał cicho chłopak, chociaż serce mu się ścisnęło, gdy przypomniał słowa wujkowego listu „wszedł w niebezpieczne miejsce i nie może sobie dać rady z zejściem“. Tak, to na pewno w tym groźnym łańcuchu jest to niebezpieczne miejsce. Marka ogarnął niepokój o wujka, o życie nieznanego turysty i o tych wszystkich, którzy poszli go ratować. Czy zdążył na czas? Czy potrafiliby pomóc... Czy sami dadzą sobie radę z zejściem? Marek wpatrywał się wciąż w oddalone profile masywów górskich, odnajdywał ich podobieństwo do skamieniałych postaci ludzkich, do przegromnych maczug, do wałów obronnych... Teraz rozumiał, że szczyty i przełęcz turyści „zdobycją“ naprawdę. Im dłużej patrzył, tym większa ciekawość rosła w jego sercu, tym większa ochota zobaczenia gór z bliska ogarniała chłopca. Ach, żebyż ten wujek już powrócił — wdychał raz po raz patrząc na zegarek. Czytać jakoś nie mógł, zszedł więc na podwórko do Bacy; zjedł i razem śniadanie i czekali. Tymczasem nad górami pojawiły się obłoki, pociemniały i skłębiły się w jedną dużą chmurę. Słońce znikło gdzieś poza nią, a najwyższe szczyty skalne jeden po drugim zaczęły się kryć za rozrastającą się chmurą. „To tak jest w tych górach! — pomyślał chłopiec. — Dlatego wczoraj, „Widoki całkiem przypadły!“ Kurtyna deszczu i mgły skryła je przed okiem ludzkim“.

Pies zaszczekał radośnie i rzucił się ku furtce, Marek za nim. Z przerwioną przez ramię liną ratowniczą i z mocnym czekaniem w ręku wracał wujek wesóły i uśmiechnięty.

— „Uratowany?“ — pytał niespokojnie chłopak, choć domyślał się odpowiedzi z miny wujka.

— „Oczywiście!“

— „Wujku, czy to był ceper?“

— „Nie, Marku. Ceper nie odważyłby się zagłębiać w groźny skalny świat. To był kochający góry, ale lekkomyślny i nie-doświadczony turysta, który nie docenił niebezpieczeństwa i nieznał własnych sił. Miejmy nadzieję, że doświadczenie to wyjdzie mu na dobre. Rok rocznie giną ludzie w Tatrach, marnując własne życie i narażając tych, którzy im spieszą z pomocą. Dobry taternik stopniowo pokonywa trudności turystyki wysokogórskiej i nie naraża się niepotrzebnie.

— „Takbym chciał pójść na wycieczkę, ale wiem, że mnie wujek nie weźmie“ — westchnął ze smutkiem Marek.

— „Przeciwnie, pójdziemy zaraz jutro — odrzekł wujek. — Poznasz najpierw hale, doliny, oraz te szlaki górskie, które nie wymagają zbyt wielkiego wysiłku i nie narażają na niebezpieczeństwa. Stopniowo wyrobisz sobie siłę, zręczność, orientację i rozwagę. Na pewno kiedyś zostaniesz dobrym taternikiem!“

Marek skakał z radości.

M. W.

## KACIK ROZRYWKOWY



Ułóżcie z podanych  
figur literę M

ROZWIĄZANIE Z NR 29 (89)

ŁAMIGŁÓWKI — ZARCIKI:

1) W każdej kratce należy umieścić po jednej literze: s—t—o—k—o—n—i.

2) W pierwszą kratkę należy wpisać literę k, w drugą — a, trzecią zostawić pustą.